

Rozdział 3

UKŁONY DLA NEPTUNA

BELGICA WYSZŁA Z PORTU W OSTENDZIE dwudziestego trzeciego sierpnia 1897 roku po zachodzie słońca. „Tym razem jesteśmy w drodze” – pisał komendant do Léonie Osterrieth. – „Wolałem odbić od brzegu bez akompaniamentu orkiestry i wiwatów”. W końcu rozpoczął podróż, z trzynastoma Belgami na pokładzie, dziesięcioma obcokrajowcami i dwoma kotami o imionach Nansen i Sverdrup.

Na długo zanim Belgica miała zmierzyć się z nieznanymi niebezpieczeństwami czyhającymi w Antarktyce, musiała pokonać potężne sztormy, z których słynęła Zatoka Biskajska u wybrzeży Francji. Silne wiatry popychały ją na południe. W miarę jak statek kołysał się poruszany szalejącymi falami, komendant przez okno swojej kajuty widział raz burzowe chmury, raz kotłującą się wodę. By uspokoić rozszalałą kipiela, de Gerlache rozkazał wyrzucić za burtę worki z olejem i przeciągnąć wzdłuż statku, co pod koniec dziewiętnastego wieku było jeszcze zwyczajną praktyką. Już kilkanaście litrów wystarczyło, by ciecz rozlała się cienką warstwą po znacznej powierzchni. Plama powłoki olejowej o grubości ledwie jednej cząsteczki pozwoliła częściowo osłabić wpływ podmuchów wiatru, zmniejszając ich tarcie względem powierzchni wody. Zamiast porywać korony fal i wzburzać je, wichura, przynajmniej w teorii, ślizgała się po nich. Lecz o ile olej mógł uspokoić morze wokół statku, nie był w stanie powstrzymać potężnych fal nadchodzących z daleka.

Choroba morska nie oszczędziła prawie nikogo. Jeden z młodych norweskich marynarzy, Carl August Wiencke, opisał

w swoim pamiętniku drastyczną scenę: „Kapitan (Lecointe) stoi na mostku, dzierży ster i wymiotuje. Naukowcy leżą przy włazach i wymiotują. Mechanicy siedzą w maszynowni i wymiotują. A majtkowie stoją przy relingach i wymiotują z górnego pokładu”.

Wiencke należał do nielicznego grona tych, których kołysanie pokładu nie przyprawiało o mdłości, i gdy jego towarzysze wisieli przewieszeni przez nadburcia, on bez chwili zwłoki wykonywał każde polecenie, biegając po niestabilnym pokładzie i wspinając się po takielunku, jakby nie przejmował się swoim bezpieczeństwem. Z okrągłymi policzkami i bez brody wyglądał jak dziecko, szczególnie kiedy miał na sobie ubranie w marynarskie paski i czapkę z wyszytą nazwą Belgica. Do zgłoszenia się na wyprawę skłoniło go pragnienie przeżycia przygody życia, a dzień przed ostatecznym opuszczeniem portu Wiencke skończył dwadzieścia lat. Był bystrym, ciekawym świata człowiekiem, sumiennym marynarzem i powszechnie lubianym towarzyszem. I choć zawsze okazywał pełne oddanie i poświęcenie ekspedycji, wpisy w jego dzienniku ujawniają głęboką nieufność wobec dowódców.

„Kapitan Lecoint [sic] zaprezentował się dziś z wyjątkowo złej strony” – zapisał pod datą trzydziestego pierwszego sierpnia, kiedy fale w Zatoce Biskajskiej miały Belgicą, jakby była niewielką łupiną.

Sverdrup załatwił się na pokładzie. Kapitan cierpiał na chorobę morską, przez co nie mógł iść prosto i stąpnął prosto w to, co ten kot zostawił. Zdenerwował się ponad miarę, tak że złapał Sverdrupa za kark i cisnął nim za burtę. Przerażone zwierzę płynęło i piszczalo wniebogłoso, tak długo, jak go widzieliśmy. Takie zachowania nie służą budowaniu pozycji i sympatii wśród załogi.

Wiencke równie bez ogródek zapisywał swoje obserwacje i przemyślenia dotyczące de Gerlache'a. Zniecierpliwieniem kwitował uparcie powtarzane przez komendanta pomysły, jakoby

wszyscy na pokładzie Belgiki byli równi, a oficerowie i naukowcy nie mogli liczyć na specjalne traktowanie.

„Wywody Gerlache’a o równości są po prostu śmieszne” – zapisał. – „Do oficera nie wolno odezwać się nieproszonym, a marynarzy i przelożonych dzieli ogromny dystans”.

Połączenie braku doświadczenia i nieposłuszeństwa wśród części członków załogi od samego początku wyprawy wywoływało problemy, a w pierwszych dniach września niemal doprowadziło do tragedii. Walcząc z wiatrami południowo-zachodnimi, Belgica mogła poruszać się jedynie dzięki silnikowi parowemu. Pod pokładem zawsze panowała – delikatnie mówiąc – duchota, lecz na samym początku podróży, z ładownią wypełnioną po brzegi węglem, którego spalanie powodowało wydzielanie gazów, zbiornikami pełnymi wody i przy wściekłym ryku nienasyconego pieca, atmosfera zrobiła się nie do wytrzymania. Para wodna ulatniała się na wszystkich łączeniach i zaworach, a potem skraplała się na ścianach i suficie. Woda kapała z niskich belek, a pot, ściekając, zostawiał meandrujące ślady na czarnych od sadzy policzkach mechaników. Po dwóch godzinach przerzucania węgla Jan Van Mirlo upuścił szufłę, osunął się na kolana i zaczął łkać.

Koledzy z wachty pomogli mu wstać i wyprowadzili go na pokład, żeby zaczerpnął świeżego powietrza. W zamieszaniu nikt nie zauważył, że wziął ze sobą rewolwer, który wisiał na ścianie. Ledwie mężczyzna znalazł się na dworze, doskoczył do relingu i zaczął wymachiwać bronią.

Amundsen nie wiedział, czy Van Mirlo zamierza użyć rewolweru przeciwko sobie, towarzyszom, czy może zaraz wyskoczy za burtę, lecz nie zamierzał czekać, żeby się o tym przekonać: rzucił się na krzyczącego Belga, cisnął nim o deski i wyrwał mu broń z rąk. Dwójka marynarzy potoczyła się po pokładzie; Amundsen był najwyższym i najsilniejszym mężczyzną na Belgice, lecz Van Mirlo wpadł w szal, przez co trzeba było jeszcze pięciu osób, żeby go obezwładnić.

Kiedy Van Mirlo się uspokoił, zbadał go rumuński zoolog Emile Racovitza, który do pojawienia się Cooka dysponował wiedzą

najbliższą medycznej. Rumun uznał, że nagły obłęd, który ogarnął marynarza, został wywołany nadmiernym wysiłkiem i stresem z przepracowania.

Co najdziwniejsze, Van Mirlo, jakby nic się nie stało, już kilka dni później wrócił do służby. Groźny epizod pogłębił jednak dręczące de Gerlache'a obawy, gdyż komendant nie wiedział, czy i na ile może polegać na swoich ludziach. Spiesząc się, by wypłynąć zgodnie z planem, został zmuszony do kompromisów i zatrudnienia ludzi bez doświadczenia lub właściwego przygotowania morskiego. Miał nadzieję, że długa podróż na południe wystarczy, by przygotować całą załogę na niebezpieczeństwa i trudy pobytu w Antarktyce, jednak problemy zaczęły się nawarstwiać, jeszcze zanim na dobre wyruszyli w drogę.

I choć de Gerlache martwił się stabilnością emocjonalną i wytrzymałością swoich ludzi, niewiele mógł w tej kwestii uczynić. Chłodny, wycofany i wrażliwy, z inklinacją do intelektualizowania, nie należał do wybitnych liderów, którzy inspirowaliby członków załogi i skłaniali ich do ponoszenia poświęceń w imię powodzenia misji. Nie był również z natury surowym służbistą czy cholerykiem jak Lecointe – nikt nie potrafiłby wyobrazić go sobie w roli osoby, która wyrzuca kota za burzę, karząc go w ten sposób za zanieczyszczenie pokładu. Na dodatek de Gerlache, nawet gdyby miał inny charakter, nie dysponował zbyt wieloma środkami dyscyplinowania załogi. Ponieważ Belgica nie była okrętem wojkowym – z formalnego punktu widzenia płynęła jako jednostka Antwerpskiego Klubu Jachtowego – za niesubordynację nie mógł nikogo postawić przed sądem wojskowym ani zakuć w kajdany. W przeciwieństwie do oficerów większość członków załogi nie podpisała nawet prostego kontraktu przed wejściem na pokład. Jediną karą, po jaką mógł sięgnąć komendant, było wyrzucenie nieposłusznych marynarzy na ląd, przy czym zaplanowanych postojów w drodze do Antarktyki było bardzo niewiele. Lecz nawet tej opcji de Gerlache nie zamierzał użyć, przestraszony myślą, jak zareaguje prasa, kiedy dowie się po jego powrocie, że wyrzucił jednego z belgijskich marynarzy.

W ten sposób problemy jedynie się nasilały. Niełatwo było zaplanować nad wielojęzyczną i wielokulturową zbieraniną osób. Napięcia na tle narodowościowym nie słabły i wciąż pojawiały się coraz to nowe linie podziału, antagonizując załogę i oficerów, Norwegów i Belgów, Belgów z Flandrii, posługujących się niderlandzkim, i Belgów z Walonii, mówiących po francusku. Lecz niezależnie od tego, jak w innych kwestiach byłaby podzielona załoga, jedna sprawa jednoczyła wszystkich: nikt nie mógł znieść francuskojęzycznego kucharza Lemonniera. Przywracanie porządku regularnie spadało na barki Lecointe'a i Amundsena, którzy, choć młodszy od de Gerlache'a, lepiej radzili sobie z dyscyplinowaniem podwładnych. Przy czym styl dowodzenia obu oficerów różnił się równie wyraźnie, jak różniła ich postura. Lecointe był niski, zadziorny i wybuchowy; Amundsen raczej lakoniczny, za to wysoki i barczysty. Uzupełniali się jednak bardzo skutecznie w ten sposób, że Lecointe pilnował agresywną klikę: Warzée – Dom – Van Damme, a Amundsen działał jako pośrednik w kontaktach z bardziej skorymi do współpracy Norwegami.

Trzynastego września, po trzech dniach postoju na portugalskiej Maderze, Belgica podniosła kotwicę i korzystając z pasatów, ruszyła w dalszą drogę. By oszczędzać węgiel, całkowicie wygaszono palenisko i rozwinięto wszystkie żagle. W miarę jak statek zbliżał się do strefy tropików, temperatura była coraz trudniejsza do zniesienia. By chronić się przed poparzeniami, wszystkie elementy z brązu na mostku owinięto płótnem żaglowym. Dodatkowa warstwa izolacji, której celem była ochrona przed antarktycznym zimmem, bardzo utrudniała wymianę powietrza pod pokładem, co szybko doprowadziło do tego, że temperatury osiągały tam 55 stopni Celsjusza. W kajutach nie dało się spać, więc marynarze przenieśli się z hamakami na pokład śródkręcia.

Rejs przez tropiki na samych żaglach był błogim doświadczeniem.

„Wiele przyjemny, delikatny wiatr i słycać muzykę fal rozbijających się o burty” – zapisał pewnej nocy Wiencke w swoim pamiętniku, prawdopodobnie kołysząc się w hamaku. – „Od czasu

do czasu rozlega się łopot żagli, na co unosimy wzrok i w świetle księżycy widzimy białe płótno wypełnione wiatrem, i chyba nie ma w świecie piękniejszego widoku niż ten”.

W szranki ze spektaklem księżycowej poświaty i poruszanymi pasatem żaglami na tle nocnego nieba stawał sam ocean, rozświetlony bioluminescencją tętniącego w nim życia i znaczący ślad za Belgicą i prowadzącymi ją delfinami, mieniający się błękitem i zielenią. W miejscach, w których te morskie ssaki zderzały się ze świecącymi meduzami, pojawiały się rozbłyski białego światła, a co jakiś czas na pokładzie lądowały latające ryby, z czego bardzo cieszył się Nansen, jedyny pozostały przy życiu kot.

Pewnego wieczoru po kolacji załoga zebrała się na pokładzie dziobowym, by się zabawić. Johan Koren, młody norweski żeglarz i utalentowany rysownik, uwiecznił tę scenę w swoim pamiętniku: wykorzystując pokrywę luku ładowni w charakterze parkietu, dwóch marynarzy ruszyło w tany w rytm muzyki z niewielkiej katarynki, akordeonu i trąbki. Reszta załogi zebrała się dookoła i paląc fajki, śpiewała na przemian sprośne belgijskie szanty i melancholijne norweskie ballady.

Wesołe i tęskne dźwięki docierały na mostek, gdzie zebrali się oficerowie i naukowcy, i sprawiły, że Amundsen zaczął wspominać swój dom. Można wyobrazić go sobie, jak stoi oparty o reling i słuchając muzyki, wpatruje się w horyzont, a wiatr porusza jego rzadkim, ale niesamowicie szerokim wąsem w kształcie skrzydeł lecącej mewy. Potężny Norweg od tak dawna marzył o polarnych ekspedycjach, że wyprawę tę traktował jako swoje przeznaczenie.

Roald Amundsen, podobnie jak Cook, zdecydował się pójść w ślady ojca, którego prawie nie znał. Jens Amundsen, właściciel statku i kapitan, który zarabiał na toczących się wojnach, większość czasu spędzał z dala od domu, by w końcu zginąć na morzu, kiedy syn miał czternaście lat. Młody Amundsen znał go właściwie jedynie z opowieści, z których tylko część była przesadzona, a część z całą pewnością prawdziwa. Zgodnie z jedną z nich kapitan Jens przeżył brutalny atak siekierą, zdusił bunt i odzyskał władzę nad

statkiem, a wszystko to w czasie transportu trzystu chińskich pracowników do Hawany. Bezwzględny i surowy, zmusił chińskich buntowników, by sami powiesili swojego przywódcę. W umyśle Roalda męczyznę otaczała niemal magiczna aura i chłopak robił wszystko, by mu dorównać. Czas miał pokazać, że przez całe życie będzie ścigać się z jego legendą.

Podobnie jak de Gerlache, Amundsen dorastał, niemal nałogowo pochłaniając polarne opowieści. Rok po śmierci ojca Roald trafił na kolejnego idola, brytyjskiego odkrywcę z początku dziewiętnastego wieku sir Johna Franklina. Łysy, tęgi oficer marynarki, którego wyprawy w kanadyjskie rejony arktyczne znaczyły tragedie i błędne decyzje, nie wydawał się oczywistym wyborem jako wzór dla młodego marynarza. W latach 1819–1822 Brytyjczyk prowadził pieszą ekspedycję wzdłuż rzeki Coppermine, tracąc podczas niej większość ludzi, którzy stali się ofiarami mordów, zmarli z głodu lub wyczerpania, a on sam zyskał miano „człowieka, który zjadł swoje buty”. W połowie lat czterdziestych dziewiętnastego wieku Franklin dowodził statkami HMS Terror i HMS Erebus w czasie próby pokonania Przejścia Północno-Zachodniego, lecz obie jednostki zostały zmiotzone przez lód, co kosztowało życie ponad 130 osób. W przypadku obu wypraw dowodzonych przez Franklina pojawiały się pogłoski o kanibalizmie, do którego mieli się posunąć członkowie załóg, lecz to właśnie trudności i nieludzkie warunki zaważyły wyobraźnię Amundsena. „Najdziwniejsze w tym wszystkim, że najbardziej przemawiały do mnie cierpienie i trudy, których doświadczył sir Franklin i jego ludzie” – pisał Amundsen. – „Do tego stopnia, że w mojej głowie pojawiło się osobliwe pragnienie, by przeżyć równie nieludzkie próby”.

Jednak największy wpływ na życie i wybory Roalda Amundsena miał norweski naukowiec i odkrywca Fridtjof Nansen. Starszy od Amundsena o jedenaście lat podróżnik zdobył światową sławę w 1888 roku, pokonując na nartach lądolód grenlandzki. Wysoki blondyn o krzaczastych brwiach i świdrującym spojrzeniu błękitnych oczu wyglądał jak żywcem przeniesiony z norweskich podań. Został obwołany bohaterem narodowym jeszcze zanim

Norwegia, która od czasów Napoleona znajdowała się pod panowaniem szwedzkim, oficjalnie odzyskała niepodległość. Siedemnastoletni Amundsen znajdował się pośród tysięcy gapiów, którzy trzydziestego maja 1889 roku zebrali się wzdłuż wybrzeża zatoki Kristianiafjorden*, by powitać powracającego Nansena: „pamiętny dzień w życiu wielu młodych Norwegów” – wspominał później Amundsen. – „Z pewnością taki był dla mnie”.

Nansen podniósł poprzeczkę cztery lata później, gdy w czasie dowodzonej przez niego wyprawy statek Fram został uwięziony przez lód i unieruchomiony przez trzy lata dryfował niesiony prądami morskimi, by dotrzeć bliżej bieguna północnego niż ktokolwiek wcześniej. Razem z jednym z towarzyszy ruszyli na nartach i z psim zaprzęgiem na północ, osiągając rekordowe 86°13'6" szerokości geograficznej północnej, co oznacza odległość około 365 kilometrów od bieguna. Po wyczerpującej podróży z powrotem na południe Nansen z towarzyszem nie mogli znaleźć statku, czego zresztą się spodziewali, gdyż Fram odpłynął, dryfując z lodowym pakiem, w którym był uwięziony. Zbudowali więc kamienną chatkę, w której spędzili zimę, żywiąc się mięsem upolowanych niedźwiedzi i morsów, po czym wraz z nadejściem wiosny ruszyli w dalszą drogę na południe. Cudownym zrządzeniem losu uratowała ich, przepływająca w pobliżu brytyjska wyprawa polarna.

Zainspirowany dokonaniem Franklina i Nansena, Amundsen bardzo wcześnie postanowił zostać badaczem terenów polarnych, a jego pragnienie z czasem przerodziło się w ambicję graniczącą z obsesją. W mniejszym stopniu niż de Gerlache'a i Cooka interesował go naukowy aspekt wypraw badawczych – a znacznie bardziej łaknął chwały, jaka mogła przypaść mu w udziale. Amundsen poddał się wyczerpującemu treningowi fizycznemu i psychicznemu, poświęcając mu wszystkie inne aspekty życia, włącznie z edukacją i życiem uczuciowym. Przez całą zimę sypiał przy otwartym oknie, by przyzwycząić ciało do chłodu, i regularnie wyprawiał się w góry otaczające Kristianiafjorden.

* Dziś znana jako Oslofjorden.

Chcąc podnieść umiejętności w biegach narciarskich i sprawdzić granice swoich możliwości, Amundsen ze swoim bratem Leonem wyruszyli w styczniu 1896 roku na wyprawę przez budzący strach Hardangervidda, ciągnący się przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów płaskowyż na zachód od Kristianiafjorden. W mrocznych zimowych miesiącach potężny, surowy i pokryty śniegiem obszar Hardangervidda bardzo przypominał bezkresne polarne pustkowia, które Amundsen pragnął przemierzać. Po kilku dniach podróży nadeszła burza śnieżna i bracia zgubili drogę. Temperatura spadła poniżej -10 stopni Celsjusza, więc zatrzymali się, by przeczekać noc, chroniąc się w zagłębieniu. Ponieważ zakładali, że o tej porze roku znajdują przed wieczorem pustą chatę pasterską, nie mieli ze sobą namiotu. Amundsen musiał improwizować. Wykopał w śniegu podłużną, wąską jamę, wsunął się w nią głową naprzód i podciągnął śpiwór pod samą brodę.

Kiedy spał, śnieg nie przestawał padać, aż w końcu nzbierało się go tyle, że zablokował wejście do wydrążonej jaskini. Temperatura dalej spadała, zmieniając w lód śnieg nadtopiony ciepłotą ciała i oddechem Roalda. Jego schronienie stało się grobowcem. „Obudziłem się w środku nocy” – wspominał później. – „Byłem ścierpnięty, więc odruchowo chciałem się poruszyć i zmienić pozycję. Ale nie mogłem. Nie byłem w stanie przesunąć się nawet o cal. Znalazłem się w środku twardego jak skała bloku lodu! Szarpałem się rozpaczliwie, próbując się uwolnić, ale nic to nie dawało. Krzychałem i wzywałem pomocy, lecz brat nie mógł mnie oczywiście usłyszeć”.

Paniczne wołania Amundsena skutecznie tłumił śnieg. W wydrążonej jamie zaczynało brakować powietrza, więc mężczyzna zamilkł, by oszczędzać resztkę tlenu. Przez ponad godzinę dyszał coraz ciężiej w swojej lodowej pułapce, bez efektu starając się draapać palcami śliskie, twarde ściany, aż z ratunkiem pospieszył mu Leon – który mimo nocy i zamieci zachował dość zdrowego rozsądku, by przebudzać się co pewien czas i strząsać z siebie śnieg. Kiedy dostrzegł wystającą z lodu końcówkę reniferowego śpiwora brata, rzucił się, by go odkopać. Amundsen był – dosłownie

– o włos od śmierci. Doświadczenie z płaskowyżu Hardangervidda nauczyło go pokory i uświadomiło wagę właściwego przygotowania. Był to także pierwszy przypadek, kiedy wspomniano o nim lokalne gazety.

Kolejnym krokiem Amundsena na wyznaczonej przez siebie drodze było zdobycie doświadczenia na morzu, by pewnego dnia móc samemu poprowadzić wyprawę polarną. W tym celu dołączył do załogi statków *Magdalena* i *Jason* w czasie letniej wyprawy poławiaczy fok w Arktyce. To właśnie po powrocie z tego rejsu do norweskiego portu Sandefjord w lipcu 1896 roku młody mężczyzna po raz pierwszy zobaczył Belgicę, która w tym samym miejscu wciąż poddawana była przeróbkom przygotowującym ją do antarktycznej misji. Kiedy Amundsen usłyszał, że de Gerlache poszukuje śmiałków do załogi, natychmiast zgłosił swoją kandydaturę, widząc w belgijskiej wyprawie szansę na zdobycie polarnego doświadczenia.

Ponieważ nigdy wcześniej nie dowodził ludźmi, decyzja komendanta de Gerlache'a, by obsadzić go w roli pierwszego oficera, była bez wątpienia ryzykowna. Lecz dla Amundsena rola ta wydawała się naturalnym etapem w jego niepowstrzymanym marszu po polarną sławę i chwałę. Metodyczny i skupiony na celu, Roald ciągnął się jeszcze na kolejny statek, tym razem handlowy, by rok dzielący go od wyprawy poświęcić między innymi na szlifowanie umiejętności nawigowania. By móc kierować wielonarodową załogą Belgiki, kilka miesięcy spędził też w Antwerpii, gdzie uczył się flamandzkiego, i w Cognac, gdzie szlifował francuski.

Osiemnastego czerwca 1897 roku był już z powrotem w Sandefjord, akurat na czas, by uczestniczyć w spotkaniu z Fridtjofem Nansenem, który odwiedził Belgicę przed jej wypłynięciem do Antwerpii. Na statku zapanowała ekscytacja, kiedy na trapie pojawił się słynny podróżnik w charakterystycznie przekrzywionej białej marynarskiej czapce. Przy dwóch metrach wzrostu wyglądał jak półbóg, przewyższając Amundsena i znacznie górując nad pozostałą częścią załogi. Po wykonaniu wspólnych zdjęć Nansen podarował de Gerlache'owi swoją fotografię z odręczną dedykacją:

„Dla Adriena de Gerlache’a z życzeniami powodzenia, Fridtjof Nansen”.

Dla Amundsena błogosławieństwo Nansena było niczym przyjęcie do ekskluzywnego klubu badaczy polarnych. Przy czym już wtedy wyobrażał sobie siebie w roli jego sukcesora. Niemal na pewno to Amundsen miał udział w nazwaniu kota pokładowego imieniem swego bohatera, mimo tego, że zwierzę było kotką.

Droga Amundsena do podboju Antarktyki była wyznaczona dużo wcześniej, metodycznie opracowywana i zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Jednej rzeczy tylko nie przewidział, bo nie przygotował się na upały panujące w tropikach, które stały się nie do wytrzymania, kiedy Belgica wpłynęła w równikowy pas ciszy. Amundsen był jedną z trzynastu osób, które nigdy wcześniej nie przekroczyły równika. Szóstego października, zgodnie z morskim zwyczajem, miała się odbyć uroczystość inicjacji dla wszystkich, którzy pierwszy raz znaleźli się po drugiej stronie najdłuższego równoleżnika.

Uroczystość przekroczenia równika to tradycja, której korzenie sięgają dawnych czasów, praktykowana na całym świecie, zarówno w marynarce wojennej, jak i na statkach handlowych. I choć różni się oczywiście szczegółami, główne punkty ceremonii pozostają niezmiennie i obejmują przesłuchanie przez Neptuna, boga mórz, i jakąś formę rytualnego ponizenia. To, że Amundsen stał w hierarchii wyżej niż marynarze organizujący uroczystość, nie wyłączyło go z obowiązku wzięcia w niej udziału. Tradycja to tradycja. De Gerlache, który kilka lat wcześniej przeszedł podobny chrzest na amerykańskim statku zmierzającym do San Francisco, z zadowoleniem przyglądał się przygotowaniom.

Amundsen był pierwszy w kolejce. O dziesiątej rano dwóch pomocników Neptuna zaprowadziło odzianego w łachmany pierwszego oficera na śródkręcie. Roald patrzył, jak zbierają się jego dręczyciele. W dzienniku tego samego wieczoru następująco opisał procesję: „Neptun” – w tej roli wystąpił wybitnie krnąbrny belgijski marynarz Maurice Warzée – „przybył z całym dworem: żoną, duchownym, fryzjerem i przedstawicielami różnych narodów”.

Kostium boga mórz składał się z długiej brody, spiczastego kapelusza z szerokim rondem i trójzębu, zrobionego z dużego widelca do porcjowania, przywiązanego do jakiegoś trzonka. Otaczała go zgraja marynarzy przebrana w najbardziej rasowo stereotypowy sposób: jeden z mężczyzn miał twarz przemalowaną na czarno i turban na głowie, inny namalował sobie na twarzy wąsy jak chiński żeglarz i przymocował na plecach kawał grubej liny w charakterze warkocza, a za pasem nosił dwa wielkie pistolety, jakby wpisując się w wyobrażenia na temat wyglądu książkowych piratów.

Odpychający francuski kucharz Lemonnier grał golibrodę, odziany w swój biały kucharski uniform. Wczuwając się w rolę, ponurym wzrokiem mierzył Amundsen, wymachując czymś, co miało zapewne przypominać potężną brzytwę, choć zrobioną z drewna. Obok stał Neptun i w dłoni dzierżył pędzel do golenia unurzany w obrzydliwej, czarnej mazi zrobionej z mąki, wody, łożu i sadzy.

– Jak ci na imię?! – zawołał Neptun, wymachując przed twarzą pierwszego oficera pędzlem do golenia.

Amundsen, nie znając przebiegu ceremonii, nie wiedział, że lepiej trzymać buzię na kłódkę, i spróbował odpowiedzieć. Ledwie otworzył usta, bóg mórz wepchnął mu między zęby brudny pędzel. Zakneblowany w ten sposób Roald nie mógł protestować, kiedy Neptun zaczął niedbale mydlić mu twarz.

„Jeśli masz pecha i nosisz brodę” – pisał tego dnia Amundsen w dzienniku, acz nie bez rozbawienia! – „z pewnością przynajmniej tydzień zajmie ci oczyszczenie jej z tego wszystkiego”.

Kiedy jego sumiaste wąsy pokryła cuchnąca maź, pierwszy oficer bez protestu oddał się w ręce Lemonniera trzymające drewnianą brzytwę, a na koniec doczekał się świętego namaszczenia w postaci trzech wiader słonej morskiej wody, chluśniętej prosto w twarz. Po zakończeniu ceremonii Amundsen umył się, zapalił cygaro i zajął miejsce, „by nacieszyć oczy torturami pozostałych”. Świeżo ochrzczeni ludzie morza otrzymali prześmiewcze dyplomy, na których znajdowały się ich karykatury. Amundsen cenił

swój certyfikat na równi ze wszystkimi oficjalnymi dyplomami, które otrzymywał w różnych momentach życia.

Sama ceremonia chrztu i trwająca później zabawa spełniły cel, w jakim podobne rytuały zostały wymyślone: zbliżyły ludzi do siebie i tworzyły między nimi więzi. Zanikały różnice rang i pochodzenia. Belgica stała się rodziną – przynajmniej tamtego dnia, a muzyka i tańce trwały do późnej nocy.

„O dziesiątej wieczorem” – zapisał Amundsen – „przy akompaniamencie strzelających korków szampana przekroczyliśmy równik”.

Dwudziestego drugiego października lało jak z cebra, kiedy za prawą burtą Belgiki przesunęła się góra zwana Głową Cukru. Rzęsisty deszcz zakrywał przed wzrokiem marynarzy większość zatoki Guanabara i rozległe miasto Rio de Janeiro, niwecząc również uroczysty efekt, na jaki liczył de Gerlache. Wiedział bowiem, że są pierwszym belgijskim statkiem od lat, który zawija do tego portu. Mimo wszystko zostali dostrzeżeni: w ich stronę ruszyła niewielka jednostka parowa. Załoga obstawiała, że na jej pokładzie znajduje się zapewne amerykański medyk, z którym komendant de Gerlache umówił się na spotkanie właśnie w Rio de Janeiro – człowiek, którego żaden z marynarzy i oficerów nigdy nie widział, ale każdy o nim słyszał.

Wszyscy z Belgiki ruszyli do relingów, by przywitać sławnego doktora Cooka, i spośród obsady parowego statku wybierali osobę, która – ich zadaniem – najbardziej wyglądała na amerykańskiego lekarza.

– To ten niski grubasek, ten, co jest taki ruchliwy!

– Absolutnie nie, to ten wysoki chudzielec!

– A może ten z brodą?

Żaden z nich nie był Cookiem. Jednostka, która ruszyła im na spotkanie, wiozła belgijską delegację i worek listów z domów, lecz nie było na niej lekarza z Ameryki. Jak się mieli zaraz dowiedzieć, doktor przybył do Rio dwa tygodnie wcześniej i zamieszkał w luksusach, czterdzieści mil za miastem w małym, górskim

miasteczku Petrópolis, jako gość belgijskiego ministra, hrabiego van den Steena de Jehay.

Dopiero następnego ranka, kiedy słońce jasnym blaskiem załało zatokę, a ich oczom ukazała się cudownie biała, piaszczysta plaża i soczyście zielone góry w oddali, członkowie załogi zrozumieli, dlaczego Rio de Janeiro uchodzi za jeden z najpiękniejszych portów na Ziemi. Spokój i harmonia bijące z rozciągającej się przed nimi panoramy ustąpiły przed chaosem, kiedy tylko oficerowie zeszli na ląd i zanurzyli się w gąszczu zatłoczonych ulic, uliczek i chodników Rio. W mieście panowały zamęt i galimatias; członkowie bogatej elity portugalskiego pochodzenia mieszały się w tłumie z biednymi rdzennymi mieszkańcami Amazonii i potomkami afrykańskich niewolników. Czasy też były niespokojne, pełne powstań i zamachów. Skorumpowana policja nie była w stanie zapanować nad falą przestępczości – jeden z marynarzy Belgiki, przechadzając się nocą nabrzeżem, został zatrzymany przez policjanta, ogłuszony płazem szabli i okradziony ze wszystkiego, co dało się zabrać.

Jedną z przyczyn, dla których doktor Cook zdecydował się zamieszkać w podmiejskiej posiadłości van den Steena, była szalejąca w mieście epidemia żółtej febry. Pewnego poranka, niedługo po zawinięciu Belgiki do portu, Cook i hrabia van den Steen wsiedli w Petrópolis do pociągu kolei zębatej, który krętymi i miejscami bardzo stromymi torami ruszył powoli przez góry i doliny, aż dotarli do zatoki Guanabara. Następnie przepakowano cały przywieziony bagaż lekarza na pokład parowego holownika, którym mieli dostać się na Belgicę. Zbliżając się do jednostki, która na jakiś czas miała stać się jego domem, lekarz poczuł lekki zawód na widok niepozorności Belgiki na tle eleganckich szkunerów, zwinych jachtów czy majestatycznych fregat stojących akurat w zatoce. W myślach porównał ją nawet do „małego buldoga zagubionego w sforze chartów – niskiego, pokracznego i przyciężkiego”.

Kiedy tego gorącego poranka Cook wspinał się drabinką linową na Belgicę, widział, jak w upale parują nasączone deszczem deski pokładu. Na samym czeluście kolejki, która zebrała się, by zobaczyć nowego członka załogi, stał wiewiórkowaty kapitan Georges

Lecoite, który wymamrotał kilka słów powitania. Jako że mężczyzna wypowiedział je po francusku, Cook nie zrozumiał nic a nic z wygłoszonej formułki, bo choć słyszał z niepohamowanej ciekawości na różnych polach, posługiwał się jedynie angielskim, łamanym grenlandzkim z grupy języków inuickich i resztkami niemieckiego, który zapamiętał z dzieciństwa. Zaraz po Lecoicie do lekarza podszedł komendant de Gerlache i uściskał mu dłoń. Czas, który spędził, służąc na amerykańskich jednostkach, sprawił, że był jedną z dwóch osób na Belgice, która jako tako mówiła po angielsku. Obok niego czekali Danco i Amundsen. Komitet powitalny zamykali naukowcy z Europy Wschodniej, Racovitza i Arctowski, z którym Cook szybko znalazł wspólny język, prowadząc rozmowę w czymś, co przypominało niemiecki.

Nowy towarzysz podróży wydawał się marynarzom z Belgiki bardziej postacią z operetki niż wykształconym lekarzem. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jego ogromny nos. Eleganckie i drogie ubrania, stanowczo zbyt grube na panujące warunki, w połączeniu z gęstą brodą i złotym zębem, który prezentował, co chwilę uśmiechając się szeroko, jak na Amerykanina przystało, upodabniały go raczej do alaskańskiego poszukiwacza złota, któremu się poszczęściło. „Cook wygląda jak typowy jankes” – zapisał Wiencke w pamiętniku. – „Na spotkanie przybył w grubym futrze”.

Bariera językowa nie zwiastowała niczego dobrego, biorąc pod uwagę fakt, że lada dzień zdrowie i życie wszystkich miały znaleźć się w rękach lekarza z Ameryki. Cook miał jednak w sobie coś magnetycznego, coś, co – przynajmniej w głowach jego nowych towarzyszy – jawiło się jako typowo amerykańskie: blask optymizmu, który emanował z każdego jego słowa. Rola, jaką odegrał w wyprawie Roberta Peary’ego na Grenlandię w latach 1891-1892, rozsławiła go wśród entuzjastów polarnych odkryć na całym świecie. Norwegowie – a Amundsen w szczególności – czytali o nim w popularnych w kraju wspomnieniach z tamtej ekspedycji, spisanych przez ich rodaka Eivinda Astrupa. Amundsen podziwiał Astrupa, więc siłą rzeczy musiał również podziwiać Cooka i wyczekiwał

spotkania z Amerykaninem od chwili, kiedy Belgica odbiła od nabrzeża w Antwerpii. Jako pilny i głodny polarnej wiedzy uczeń Amundsen chciał się jak najwięcej od niego nauczyć.

Mimo burzliwych czasów w brazylijskiej polityce przełomu wieków obecność Belgiki w zatoce Guanabara stała się wydarzeniem narodowym. Hucznie witani na każdym kroku, w stałej obstawie dziennikarzy śledzących ich wszystkie ruchy, członkowie wyprawy wieczory spędzali na hulankach, a poranki na leczeniu kaca (Cook wyjątkowo długo nie wstawał z łóżka – od czasów prawie pozbawionej snu młodości w Nowym Jorku, gdzie za dnia studiował, a w nocy zarabiał, nigdy nie przepuszczał okazji, żeby odespać tamte czasy). Wieczorki zapoznawcze za każdym razem zmieniały się w bachanalia, w czasie których w licznych językach wznoszono toast za toastem za powodzenie antarktycznej wyprawy.

Najbardziej poruszający hołd, którego echo miało wprawiać w drżenie serca polarników, kiedy Belgica zmierzała w stronę antarktycznych lodów, miał miejsce w czasie przyjęcia w Brazylijskim Instytucie Historyczno-Geograficznym. Jego rzecznik, doktor Alfredo Nascimento, wygłosił długi, pełen erudycji i elokwencji toast, w którym wychwalał odwagę śmiałków. W najważniejszej części przemowy nie zawahał się użyć literackiego języka, by opisać to, na co się porywają:

O, wędrowcy! W swojej śmiałej wizji człowiek o niezwykłej wyobraźni, Juliusz Verne, umieścił słynnego kapitana Hatterasa na biegunie północnym; a pisząc o przygodach podwodnego statku Nautilus, wysłał kapitana Nemo aż do dziewięćdziesiątego stopnia szerokości południowej, by pozwolić mu zatknąć czarno-złotą flagę na antarktycznym biegunie! Tak! Panowie! Postęp nauki pozwolił zrealizować śmiałą wizję, jaką był Nautilus, dzięki czemu dziś łodzie podwodne nie są już jedynie tworam wyobraźni. Dokończcie więc wypełnienie proroctwa: urzeczywistnijcie wizję, wyrrywając z bieguna tamtą czarną flagę narodu, który nie istniał, a w jej miejsce zatknijcie wasz znak! Wymażcie z map nazwisko kapitana

Nemo – bo oznacza ono dosłownie „nikogo” – a w jego miejsce wykaligrafujcie: Adrien de Gerlache!

Belgijska Ekspedycja Antarktyczna ubrana została w szaty misji naukowej, lecz w gruncie rzeczy była romantyczną przygodą. De Gerlache zorganizował ją, bo puste miejsce na dole mapy przyciągało go niczym magnes. Pustka, której wypełnienie faktami i danymi obiecywali sobie naukowcy na pokładzie Belgiki, na potrzeby chwili zapełniana była fantazją i fikcją. Ludzkie pojmowanie nieznanego i niezbadanego Antarktydy z braku innych opcji uformowane zostało przez literaturę – jak na przykład inspirowana nauką fikcja stworzona przez Juliusza Verne’a.

Przez cały dziewiętnasty wiek niezbadane pustkowia biegunów stanowiły inspirację dla płodnych umysłów popularnych pisarzy, w tym między innymi dla Verne’a właśnie. Jako chłopcy de Gerlache i podlegli mu oficerowie zaczytywali się w jego książkach. W 1870 roku opublikowano powieść *20 000 mil podmorskiej żeglugi*, w której Juliusz Verne biegun południowy opisał jako skałę wystającą z bezkresnego morza lodu, pod którym Nautilus mógł przemieszczać się bez przeszkód. Do 1897 roku, kiedy Belgica wypłynęła z portu, wiedza na temat Antarktydy pozostała w zasadzie na tym samym poziomie! Nikt nie mógł jednoznacznie i kategorycznie zaprzeczyć rozbudowanej i pełnej starannych opisów wizji Verne’a. Najbardziej wysunięty na południe kontynent – pod warunkiem, że rzeczywiście był kontynentem, a nie lodową wyspą na oceanie – pozostawał równie tajemniczy, jak inne miejsca, które Verne chętnie przedstawiał: wnętrze Ziemi, głębie oceanu czy powierzchnia Księżyca.

Podobnie jak de Gerlache – a możliwe, że częściowo i przez de Gerlache’a – Verne wyczuwał zbiorowe zainteresowanie Antarktydą: począwszy od stycznia tego roku, starzejący się francuski autor powrócił na biegun południowy w *Sfinksie lodowym*, publikowanym w odcinkach, dwa razy w miesiącu. Powieść, pod oryginalnym tytułem *Le sphinx des glaces*, opisywała biegun południowy jako lodową górę w kształcie uskrzydłonego sfinksa, o tak silnym

polu magnetycznym, że porywała statki z zawrotną prędkością pędzące w stronę jej zboczy, o które roztrzaskiwały się na drobne kawałki. De Gerlache, który bardzo sobie cenił tę książkę, wewnątrz Antarktydy określał czasem słowem „sfinks”.

Verne napisał *Sfinksa lodowego* jako kontynuację i jednocześnie hołd oddany jedynej powieści Edgara Allana Poeego, *Przygody Artura Gordona Pyma*, która ukazała się w 1838 roku. Pośród najbardziej makabrycznych dzieł w kanonie morskich opowieści ta wybijała się nawet na tle standardów Poeego, głównie przez mistyczne zakończenie. Po przebyciu serii niebezpiecznych przygód na wodach południowej półkuli główny bohater wraz z towarzyszem dryfują w niewielkiej łodzi przez niezbadane akwenty, a nad ich głowami krążą albatrosy. W miarę zbliżania się do bieguna południowego woda przybiera mleczną barwę, a z nieba sypie się podobny do białego popiołu pył. Ich łupina, przyciągana jakąś nieznaną siłą, przyspiesza do nieprawdopodobnej prędkości. Rozstępująca się mgła ukazuje ich oczom zapierającą dech w piersiach wysoką ścianę wody: „Porównać ją można tylko z olbrzymią, bezmierną kaskadą toczącą się bez szmeru z jakiegoś ogromnego, gubiącego się w niebiosach wału” – relacjonuje Pym. – „Gigantyczna zasłona zakrywała cały horyzont południowy. Panowała nieprzerwana cisza”^{*}.

W ostatnim akapicie powieści Pym podpływa do podstawy tego pionowego oceanu – do końca Ziemi: „W tej chwili pędziliśmy z niesamowitą szybkością do krawędzi kaskady, a bezdenna czelusz otwarła się, aby nas wciągnąć. Lecz oto nagle wynurzyła się przed nami osłonięta całunem postać ludzka, nieskończenie większa i potężniejsza od któregośkolwiek z mieszkańców ziemi. A barwa skóry tej postaci lśniła oślepiającą białością śniegu”.

W tym miejscu książka się kończy, prawdopodobnie śmiercią narratora.

* Fragmenty pochodzą z powieści Edgara Allana Poeego *Przygody Artura Gordona Pyma* w przekładzie M. Stemara (Lwów 1927).

Luksusowo oprawione wydanie zebranych opowiadań Poeego, przetłumaczonych przez znanego francuskiego poetę Charles'a Baudelaire'a, spoczywało opakowane i ukryte w ładowni Belgiki, czekając, aż zostanie otwarte. Siostra de Gerlache'a, Louise, wybrała bowiem i zgromadziła dla brata książki, które miał podarować z okazji świąt Bożego Narodzenia wszystkim naukowcom i oficerom na pokładzie. Opowiadania Poeego przeznaczyła dla lekarza z Ameryki, doktora Cooka, co podkreślały jego inicjały wyhaftowane na ręcznie stworzonej oprawie*. Wśród dzieł zebranych w tym tomie znalazło się opowiadanie *Rękopis znaleziony w butli*, w którym, podobnie jak w powieści o Pymie, pojawia się łódź dryfująca na południe, w stronę Antarktydy, tyle że w tym przypadku świat nie kończy się bezgranicznie wysokim wodospadem, a bezdennym wirem.

Pomysł, by bieguny północny i południowy były źródłem niepokonanej, złowrogiej siły przyciągającej podróżników i odbierającej im rozum, przewijał się przez całą dziewiętnastowieczną literaturę, poczynając od *Rymów o sędziwym marynarzu* Samuela Taylora Coleridge'a z 1798 roku, poematu mówiącego o statku, na który kłutwę ściąga marynarz, strzelając do albatrosa, przez co jednostka utyka w antarktycznym lodzie. Kiedy Belgica ruszała w drogę, związek między polarną obsesją i szaleństwem był w literaturze czymś oczywistym. Budzące grozę i niezbadane bieguny stanowiły idealną kanwę dla tego, co wymyka się ludzkiemu pojmowaniu.

Wymyślone i metaforyczne, opowieści tego typu znajdowały podatny grunt, trafiając do głów załogi Belgiki. Ich własne dzienniki i wspomnienia z ekspedycji, włącznie z tymi, które spisali naukowcy, przeplatane są literacką kwiecistością, którą przypisać można inspiracjom – a czasem i bezpośrednim nawiązaniom – dziełami Poeego i Verne'a. W miarę jak przedstawiane wydarzenia coraz wierniej wpisywały się w archetyp polarnej grozy, język dzienników stawał się bardziej ponury i pozbawiony nadziei.

* Co oczywiste, doktor Cook nie miał szans zrozumieć ani słowa z francuskiego tłumaczenia.